

Od autora: pod słońcem Toskanii; pod księżycem takż; postaci kilka mało zwykłych; tygrys z epoki lodowcowej; ptak Dawida; dziewczynka z zapalkami - prawie jak księżyc w nowiu, ale to jednak słońce w zenicie :D

SŁOŃCE W ZENICIE

≈PROLOG≈

W tłumie turystów, kręcących się między zbiorami dzieł mistrzów romantyzmu, nie brakowało indywidualistów, ale młoda kobieta, bezwstydnie wpatrująca się w przyrodzenie „Dawida”, szczególnie zwracała na siebie uwagę. Pokryta magicznym wzorem tatuażu ręka, pończochy w paski, za krótka, czarna sukienka z przesadną ilością koronek i wisioerek z sówiej czaszki stanowiły ku temu wystarczający powód, ale jeśli kogoś taki widok nie intrygował, dochodziły dziesiątki zielonych warkoczyków i powplatane w nie wstążki, koraliki, pióra i kości małych zwierzątek. W efekcie inni zwiedzający florencką Galleria dell'Accademia nie raz żywiej interesowali się nieznaną niż zgromadzonymi tu dziełami sztuki.

Ona sama wyraźnie miała to w nosie. Wynik pracy dłuta genialnego Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni pochłaniał ją bez reszty i doprawdy trudno zgadnąć, o czym w tej chwili myślała. W końcu jednak oderwała wzrok od hipnotyzującego ją marmurowego szczegółu anatomii i nie zwracając już uwagi na inne dzieła, opuściła galerię.

Z mieszanką obrzydzenia i obojętności przebijała się przez zatłoczoną Via Ricasoli, by dotrzeć na przepełnioną turystami Piazza del Duomo, pod monumentalną katedrę Santa Maria del Fiore. Urzeczona ogromem świątyni, przez chwilę wahała się, czy nie stanąć w makabrycznie długiej kolejce do wejścia na szczyt kopuły lub, wcale nie krótszej, do campanilli, ale ostatecznie zrezygnowała. Już się nastąpiła, żeby zobaczyć ptaka Dawida i jak na jeden dzień to powinno wystarczyć.

Nie śpiesząc się spacerowała dalej, chłonąc niepowtarzalną atmosferę miasta. W porównaniu do miejsc, które znała z codzienności, takie spotkanie z żywą, europejską historią i sztuką było dla niej doświadczeniem niemal egzotycznym.

Plan, który sobie przygotowała, obejmował wizytę w Casa di Dante, ale najwyraźniej pomyliła drogę, bo nagle znalazła się na kolejnym wspaniałym placu, Piazza della Signoria, u stóp strzelistej wieży Palazzo Vecchio. Tu znów czekał na nią obnażony Dawid, choć tym razem była to jedynie kopia słynnej rzeźby.

Ekscentrycznie odziana kobieta znów przystanęła, ale tym razem raczej by chwilę odpocząć, niż kontemlować marmurową fujarkę. Usiadła pod fontanną Neptuna i zachłannie opróżniła butelkę lekko już ciepłej wody.

Było gorąco. Bardzo. Słońce w zenicie nie tylko prażyło bezlitośnie, ale też maksymalnie skracało cienie budynków, tak, że ciężko było ukryć się przed jego promieniami. Wspaniały spacer robił się przez to strasznie wyczerpujący.

Zielonowłosa miała przed sobą cały dzień i jeszcze wiele chciała zobaczyć, ale teraz zaczynała się łamać.

Może lepiej przysiąść w jednej z licznych knajpek i zamówić sobie latte? Albo lody... Och, podobno mają tu przepyszne...

Myśl o zimnych smakołykach podziałała pobudzająco. Tak, z całą pewnością trzeba sobie trochę pofolgować i spróbować włoskich specjałów. Choć może jeszcze nie teraz. Za godzinkę, dwie, jak już plan na dziś będzie wykonany.

Ponte Vecchio jej nie rozczerował, ale gnana wizją lodów nie poświęciła mu wiele uwagi. Po prostu przeszła na drugą stronę rzeki i odbiła na zachód, zagłębiając się w fascynującym świecie rzemieślniczej dzielnicy Oltrarno.

Wyjęła z torebki zmiętą kartkę z adresem i odręcznie wyrysowaną mapką. Chwilkę jej zajęło ustalenie, gdzie aktualnie się znajduje, ale potem poszło już zgrabnie. Bez problemu odnalazła wskazany dom. Przystanęła dyskretnie, po przeciwnej stronie ulicy i z tajemniczym uśmiechem patrzyła na parkę bawiących się dzieci.

- Idealna... - mruknęła pod nosem. – Po prostu idealna.

Przymknęła oczy, skoncentrowała się i po cichutku wzniosła monotony, niezrozumiały zaśpiew. Trwała tak dobrych kilka minut, niczym zahipnotyzowana, nieobecna duchem. Nie zwracała uwagi na pokazujących ją sobie przechodniów.

A potem nagle się ocknęła. Szybko zamrugła powiekami, wyszczerzyła kilka krótkich słów w dziwacznym języku i przeszła pod front obserwowanego budynku. Dyskretnie cisnęła pod próg czaszkę grzechotnika, nogą dopchnęła ją w zakurzony kąt, żeby nie rzucała się w oczy, a potem znów coś zamruczała. Na koniec, zadowolona z siebie podeszła do dwojga maluchów.

- Przepraszam cię dziecko, nie wiesz, jak dojdę do Pallazo Pitti? – zwróciła się do dziewczynki. Starła się, by jej głos brzmiał sympatycznie. Przecież wystraszenie małej bawiącej się z kolegą absolutnie nie leżało w jej zamiarach.

- Nie wiem proszę pani, jestem jeszcze za mała. Musi pani spytać kogoś dorosłego. – Odpowiedź była rozbijającą trzeźwa.

Zagadnięta podniosła wzrok, zaintrygowana nietuzinkowym wyglądem zbłąkanej turystki. Spojrzenia kobiety i dziecka spotkały się i można było odnieść wrażenie, że przemknął między nimi jakiś cień. Ale to musiało być tylko złudzenie, bo już po chwili wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie.

- Masz rację, moje dziecko. Przepraszam, że ci przeszkodziłam w zabawie.

Pół godziny później zielonowłosa kobieta, w pełni zrelaksowana i szczęśliwa, siedziała w cieniu drzew i delektując się urokiem Giardino di Boboli zjadała fantastyczne lody.

Całkiem po cichu się nie udało, ale szamotanina nie trwała długo. Przyduszona kołdrą i przyciśnięta ciężarem ciała kobieta wierzgała wprawdzie, ale nie miała szans. Jej mąż przez chwilę stawiał opór. To on w desperackim szarpnięciu stracił z nocnej szafki szklankę z wodą, on też spróbował się bronić, ale nie na tym nie zyskał. Napastnik łatwo zatrzymał pędzącą ku swojej twarzy pięść, sam wymierzył precyzyjny cios miazdząc krtań przeciwnika. Poprawił w skroń. Trochę przesadził i ze szczerym rozczarowaniem stwierdził, że było to uderzenie śmiertelne.

Truchło z głuchym łoskotem stoczyło się na wyściełający podłogę dywan. Na szczęście została jeszcze kobieta. Miotła się w panice, tłukła nogami w materac łóżka. Spod pościeli dochodziły echa zduszonych wrzasków. Była taka gorąca, dodatkowo rozgrzana beznadziejną walką o życie. Przyciągała jak magnes.

Ręce napastnika drżały z podniecenia, gdy powoli wsuwał je pod kołdrę, nieuchronnie zbliżając się do pulsującego ciepłem ciała. Dotknął uda. Niemal się sparzył. Ona przeciwnie, spięła się instynktownie, nie wiedząc czy ma do czynienia z czymś naprawdę zimnym, czy tylko tak działają lodowate okowy paniki. Nie miała czasu myśleć, ale w jednej sekundzie w jej głowie zrodziła się świadoma pewność, co się stanie. Rzuciła się jeszcze raz, najsilniej jak mogła, a gdy poniosła porażkę przyszła rezygnacja. Poddawała się. Wraz z całym strachem, całym jestestwem, zamknęła się w sobie i tylko cicho łkała. Nie sprawiało jej już różnicy czy, przez kogo i jak jest dotykana, nie czuła bólu, nic. Spokojnie, powoli gasła.

Dzikość serca! Euforyczne spełnienie! O tak, ta noc była piękna. Skąpana we krwi, skąpana w błogim uniesieniu, w transie, w szaleństwie! Cudownie! Ach, jak cudownie! Trudno powiedzieć, czemu na tę właśnie noc wybrał akurat ten dom, trudno nazwać to dziwne, jakby magiczne przyciąganie, ale to był strzał w dziesiątkę. Niezaprzeczalnie. A przecież na tym nie koniec. A przecież w tym mieszkaniu był ktoś jeszcze...

*

Sophia miała lekki sen. Obudziło ją... Nie wiedziała co, czy może kto, ale na pewno to nie była kwestia gorszego snu. W domu coś się działo.

Naciągnęła kołderkę tak, że wystawały nad nią jedynie wylęknione, błyszczące w ciemności oczy i ciemna, potargana grzywka. Małe serduszko dudniło coraz szybciej. Nasłuchiwała.

Od sypialni rodziców dzieliły ją drzwi i długi hol. To tam coś się działo. Zgłuszone odgłosy niewiele mówiły, ale dziewczynka nie mogła się mylić. Przyszły bajkowe potwory, a może trolle z książeczki i właśnie straszyły rodziców. I ją też straszyły. Oj, jak bardzo.

Pluszowy wilczek Giuseppe troszkę pomógł, ale nie aż tak bardzo, jakby Sophia chciała. Kołderka powędrowała jeszcze wyżej i teraz nie wystawało spod niej już nic.

Spokój przyszedł tak nagle, że aż nienaturalnie. Jakby zadziałał jakiś czar. A może to właśnie był czar? Dziewczynka przestała się bać, przestała myśleć o strachach i duchach, a nawet o rodzicach. Wyjrzała spod kołdry.

Drzwi do pokoju były otwarte, a o ścianę opierał się obcy mężczyzna. Spowity w czerń, tajemniczy, ale nie wydawał się groźny. Sięgnął do kieszeni po pudełko zapalek, wyjął jedną i włożył ją w usta. Przygryzał cienkie drewnienko, bawił się próbując dotknąć siarzaną główką do czubka swojego, dość dużego nosa.

- Śmieszny pan jest. – Sophia uśmiechnęła się rozweselona.
- Jak masz na imię, mała? – głos nieznajomego był niski, spokojny, łagodny i budzący zaufanie.
- Sophia, ale może pan mówić Fifi. A pan? Jak pan ma na imię?
- Diego.
- Diego? Wspaniale – roześmiała się wesoło. – Jak tygrysek z „Epoki lodowcowej”!
- Ubierz się szybciotko. Musimy już iść.
- Mam iść z panem? A rodzice nie będą się martwili?
- Nie będą.

Sophia, zaintrygowana czekającą ją przygodą, przebrała się zwawo i już po chwili śmiało wyciągnęła rękę do Diega.

- Jestem gotowa. Fajnie, że będziemy razem podróżować. Wiesz, tygrysek Diego też podróżował z dzieckiem, ale tamto było młodsze niż ja. Tam był bobas, a już jestem duża, mam cztery latka.

Mężczyzna uśmiechnął się kącikiem ust i zakręcił przygryzaną zapalką. Chwilę zawahał się przed podaniem dziecku dłoni, ostatecznie wziął małą na rękę. Czuł jej słodkie ciepło. Znowu narastała w nim ekscytacja.

Tygrys z „Epoki lodowcowej”... Dobrze sobie... Z drugiej strony, skojarzenie z potężnym drapieżnikiem nie było takie głupie...

*

- Czy ja też mogę taki śmieszny patyczek?

Dziewczynkę wyraźnie fascynowały nieodzownie u Diega zapalki. Bez przerwy trzymał jakąś w zębach, a gdy tylko uznał, że należy ją wyrzucić, brał z pudełka kolejną. Przez drogę z Via dei Geppi w Oltrarno, gdzie znajdowała się kamienica rodziców Sophi, na leżące poniżej Placu Michała Anioła Via del Monte alle Croci i domu Diega, mężczyzna zmełł z pięć zapalek, a pewnie poszłoby ich więcej, gdyby nie to, że co chwilę odpływał gdzieś w tajemnicze rewiry swych mrocznych myśli. Roztrząsał ostatnie wydarzenia i dziwną, nagłą potrzebę, by nawiedzić pozornie przeciętną rodzinę. Wcześniej nic takiego mu się nie zdarzało.

Teraz, kiedy byli już na miejscu, Diego nieco się otrząsnął. Z oszczędnym uśmiechem podał małej otwarte pudełeczko i ciekawie patrzył jak drobne paluszki przebierają wśród równo ułożonych patyczków, chwytają jeden, a potem z niemal nabożnym uniesieniem wsadzają go między równe, perłowe ząbki.

- Mogę się pobawić?
- Śmiało.

Sophia pobiegła do ogrodu, gdzie w świetle gazowej latarni zaczęła uganiać się za wielkimi ćmami. Powinna być śpiąca, bo przecież wciąż trwała noc i nie tak dawno wyrwano ją z głębokiego snu, ale najwyraźniej znajdowała się u szczytu formy. Powinna się bać, bo przecież nic nie wiedziała o tajemniczym Diego, który ot, tak po prostu zabrał ją z domu. Powinna się martwić o rodziców, ale z jakichś powodów nawet o nich nie myślała...

- Dasz ją nam? – Chiara, szykowna szatynka o porcelanowej cerze i wielkich, błyszczących niczym gwiazdy oczach, podeszła do siedzącego w fotelu Diega i namiętnie gładziła jego krótkie włosy. – Dla nas ją przyprowadziłeś?

- Potrafimy się odwdziaczyć. Wiesz o tym, mój panie. – Giovanna miała ogniste włosy i takiż temperament. Kiedy, tak jak teraz, przygryzała dolną wargę, wydawało się, że temperatura podskakuje przynajmniej o kilka stopni.

Trzecia i ostatnia z kobiet, wysoka, szczupła Giulietta, nie odzywała się, jednak w jej ostrych rysach, mocno zaciśniętych ustach i przymrużonych oczach znać było, że i ona jest żywo zainteresowana tematem i niecierpliwie wyczekuje odpowiedzi.

Mężczyzna milczał. Zapałka w jego zębach hipnotycznie poruszała się to w górę, to w dół.

- Chcesz ją dla siebie, panie? – Chiara nie kryła rozczarowania.

- Panie, podrażniłeś nasz apetyt, doprowadziłeś nas na skraj podniecenia, za którym jest już tylko szaleństwo. Nie możesz nas tak zostawić. – Ręce Giovanni drżały ze złości. – Potrzebujemy spełnienia. Musisz, po prostu musisz nam pozwolić...

- Nie. - Diego wypuł zapałkę, podniósł się i podszedł do prowadzących na taras drzwi. Z kamienną twarzą, w milczeniu patrzył na rozbawioną dziewczynkę. – Ja zdecyduję kiedy i jak.

Giulietta prychnęła. Na chwilę jej oblicze nabrało demonicznego wyrazu i wydawało się, że zaraz rozpęta się awantura, ale kobieta zapanowała nad gniewem. W jednej sekundzie jej twarz się rozpogodziła, a na usta wypłynął przyjacielski uśmiech.

- Fifi, Fifi, słoneczko, choć na chwilkę do mnie.

Diego wyraźnie spiął się, jakby oczekując, że Giulietta zrobi coś wbrew jego woli, ale nie powstrzymał jej, gdy wychodziła na podwórze i wabiła do siebie nieświadome niebezpieczeństwa dziecko.

Władza mężczyzny musiała być jednak znaczna, bo kobieta nawet w najdyskretniejszy sposób nie dała po sobie poznać, że chodzą jej po głowie bardzo złe rzeczy. Uklękła przy roześmianej Sophii i cicho z nią rozmawiała. Co jakiś czas do uszu Diega dochodziły podekscytowane głosy małej i przyjemny śmiech Giulietty. Mogło się wydawać, że całkiem nieźle się ze sobą czują.

Chiara i Giovanna przystanęły za plecami swojego mężczyzny. Teraz i one milczały, czekając, jak skończą się ryzykowne gierki ich towarzyszek. Oczy kobiet lśniły diabelskimi refleksami.

Giulietta wróciła do salonu po jakichś dziesięciu minutach. Po przyjacielskiej masce nie było nawet śladu, znów miała swoje zwyczajne, drapieżne rysy i groźne spojrzenie.

- Mała ma ulubionego kolegę, Pippo. Chłopiec mieszka dwie kamienice dalej. – Wymowne spojrzenie, posłane Diegowi, nie miało w sobie nic z pokornej prośby. To było żądanie.

- Dobrze. Możecie iść.

Nim nowa zapalka powędrowała do ust mężczyzny, kobiet już nie było. Pomknęły w mrok florenckiej nocy, pozostawiając po sobie niedomknięte drzwi.

Diego nie fatygował się, by je zamknąć. Nadal stał w tym samym miejscu i w zamyśleniu obserwował Sophię. Mała przypominała mu inne czasy i inne miejsca. Argentynę, jego ojczyznę. Znów widział przed oczami przedmieścia Mar del Plata.

Sąsiedzi mieli córkę niemal bliźniaczo podobną do tego dzieciaka. Juanita była równie pogodna, słodka i naiwna. Diego chronił ją, nie mając sprecyzowanych planów, kiedy zechce zebrać plony swoich działań. Nie było mu jednak dane nacieszyć się młodziutkim życiem. Którejś z nocy, wrogi klan zaatakował hacjendę. Nie to, żeby nie mieli swoich powodów, bo Diego osobiście zhańbił ich księżniczkę, ale dla niego to była już tylko historia. Napastnicy zaś nie mieli litości, a że było ich znacznie więcej, szybko uporali się z chaotyczną obroną. Ten, którego szukali, jak na ironię był jedynym, który przeżył masakrę. Uciekł i więcej do domu nie wrócił. Ścigany i upokorzony wszedł na płynący do Europy statek i w końcu trafił do Włoch, skąd pochodzili jego dalecy przodkowie. Tu też odnalazł nowy dom.

Florencja nie była ani trochę podobna do Mar del Plata. Była po tysiąckroć piękniejsza.

Dziwny przypadek, że dokładnie w dwudziestą rocznicę swojej niechlubnej ucieczki los rzucił na jego łaskę słodziutką Sophię. Powinien się zastanowić? Uważać? Z całą pewnością dawni wrogowie nie zapomnieli o nim, ale z drugiej strony koncepcja, że użyliby dziecka jako narzędzia zemsty, wydawała się bardzo mało prawdopodobna. Diego potrafił przecież odczytać myśli małej, a kiedy rzucił na nią urok zachowywała się dokładnie tak, jak zapragnął.

Tak czy inaczej, dziewczynka była teraz w jego ogrodzie, ganiała ćmy, roziskrzała noc swoim szczerym śmiechem i pobudzała najdziksze spośród żądź...

*

Marcia zatracala się w nocach takich jak ta. Srebrzący się na niebie księżyc, lekki, ożywczy wiatr, malowane iluminacją zabytki i nieustający szmer wiekowego miasta. Gwarne enoteki, pachnące przysmakami tokańskiej kuchni trattorie, eleganckie damy i temperamentni mężczyźni. Uwielbiała to. W takie noce urządzała sobie długie spacer, podczas których pozwalała się prowadzić instynktowi, a nawet przypadkowi. Znajdowała magicznie piękne miejsca, czasem zatrzymywała się gdzieś, właściwie bez powodu, zastęgała niczym rzeźba i, choćby godzinami, trwała w bezruchu chłonać otaczającą ją piękno.

Tym razem, równo z zachodem słońca, zjawiła się na kopule katedry Santa Maria del Fiore i stamtąd obserwowała gasnącą łunę dnia i przejmujący władzę mrok. Spędziła tam czas do północy. Wreszcie, kiedy mimo że miała na sobie sweterek obszyty na kołnierzu futrem z wilczego ogona, dopadł ją delikatny nocny chód, nieśpiesznie powędrowała malowniczymi zaułkami nad brzeg Arno. Ominęła słynny Ponte Vecchio, który nawet o tej porze wydał jej się nazbyt gwarny i pokonała rzekę sąsiednim mostem Santa Trinita. Tu znów przystanęła i długie minuty wpatrywała się w ciemne, krótkie i szybkie fale.

W końcu, wyciszona i zrelaksowana, wróciła do domu. Melancholijny nastrój jej nie opuścił, więc rozpałała ogień w kominku, wygodnie usadowiła się na antycznej sofie i z kieliszkiem Chianti w dłoni zabrała się za czytanie „Boskiej Komedii”.

Błogi, natchniony spokój wprowadzał ją w błogostan, a jednak coś było nie tak. Instynkt kazał jej odłożyć oprawioną w skórę książkę i baczniej wsłuchać się w odgłosy nocy. Tak, zdecydowanie coś się działo. Coś, co nie powinno mieć miejsca.

- Zaraz... - mruknęła sama do siebie, nie bardzo wiedząc czy powinna ufać oczom. – Czemu widzę za moim oknem kobietę...

Pomijając już fakt, że posesja Marcii była ogrodzona i zamknięta, to przecież w tej chwili siedziała w swoim ulubionym pokoiku na pięterku i za oknem mogła widzieć jedynie kogoś, kto potrafiłby unosić się w powietrzu... A jednak była tam. Zza szyby w Marcię wpatrywała się obca szatynka o pełnych nieprzeniknionej tajemnicy, wielkich oczach...

*

Mały człowieczek. Rozkoszny, wesoły, pełen życia i taki niewinny. Słodka Fifi. Powinna już być zmęczona, ale emocje tej nocy, no i samo działanie uroku nowego znajomego, robiły swoje, więc nieustannie skakała, śmiała się srebrzyście, tańczyła.

Potknęła się, straciła równowagę, przejechała kolaniem po kostce, którą wyłożona była ścieżka prowadząca do marmurowego kominka. Krwi nie było dużo...

Zapałka trzasnęła zgniecioną trzonowymi zębami. Diego w jednej chwili znalazł się przy dziewczynce.

- Daj, obejrzę ranę...

Mała nie płakała. Pewnie nawet nie przejęłaby się zdarzeniem, ale gwałtowana reakcje mężczyzny trochę ją zdezorientowała.

- Nie boli mnie...

- Jednak powinienem zobaczyć. Zobacz, leci krew. Taka świeża, pełna...

- Ratuj mnie! Ratuj, ukochany! – Giulietta wpadła do ogrodu niczym huragan.

Ani trochę nie przypominała tej, która nie tak dawno stąd wyszła. Wystraszona, nie, raczej przerażona. Z rozwianymi włosami, z tuszem do rzęs spływającym wraz ze łzami i malującym na policzkach niesamowite wzory.

Diego niechętnie odwrócił uwagę od skaleczonego kolana dziewczynki. Widok kochanki wprowadził go w osłupienie.

- Giuli, o co chodzi? Gdzie Chiara i Giovanna?

- Ten Pippo... On mieszkał przecnicę dalej... Za daleko. Diego, on mieszkał za daleko! – Kobieta krzyczała starając się opanować spazmy. – Rozumiesz? Ratuj mnie, proszę!

Diego pojął w lot. Ale i tak było już za późno.

W asyście głośniego trzasku drzwi wejściowe runęły na posadzkę, a w progu stanęła nieznajoma. Straszna i potężna. I wściekła.

- Diego... - Giulietta łkała, kwiliła. Skuliła się i powoli cofała, jak najbliżej swojego ukochanego.

Mężczyzna nie zdążył wykonać najmniejszego ruchu. Nowoprzybyła zniknęła, zaraz pojawiła się za plecami zdruzgotanej Giulietty. Krew bryzgnęła nienaturalnie obfitą fontanną, a kochanka Diega bezwładnie opadła na podłogę.

- Tolerowałam was, nie czyniłam żadnych wrogich kroków! – Straszliwa zabójczyni syczała jak szyszkująca się do ataku kobra. Czekoladowe włosy i wilcze futro obrębiające dekolty jej sweterka lepiły się karmazynową posoką. – Naruszenie mojego dominium, to już jednak przesada, gruba przesada!

- Donna Marcia? – Diego doskonale zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z kimś znacznie od siebie potężniejszym. Wiele słyszał o tej kobiecie i bardzo się starał nie wchodzić jej w drogę. Do tej chwili udawało mu się świetnie, bo nawet nie mieli okazji się poznać, ale teraz... Dyskretnie wypłuł resztki zapalki. – Pani, wybaczone, nie miałem pojęcia... - Skłonił się nisko i nieruchomo czekał, czy spotka go los kochanek, czy może wielka dama okaże litość. O swoich kobietach już nie myślał. Co stało się z Giulią widział, co do Chiary i Giovanny też nie miał złudzeń. Im już nie mógł pomóc.

W domu zapanowało niepokojące milczenie. Milczał Diego, milczała groźna Marcia, milczała też zdeorientowana i wystraszona Sophia.

Wreszcie, ciszę przerwał metaliczny, rytmiczny stukot obcasów. Marcia pewnym krokiem podeszła do mężczyzny, zatrzymała się metr od niego. Z jej dumnego oblicza – klasycznie pięknego, choć w tej chwili z uwagi na krwawe smugi zdającego się makabrycznym – biła moc i majestat.

- Twoje suki wtargnęły na moje terytorium. Zabawiły się z moimi podwładnymi, odebrały mi mojego małego ulubieńca. Jak śmiałeś im na to pozwolić?!

- Nie wiedziałem gdzie się wybierają...

- Nie wiedziałeś...? I ta niewiedza ma cię uniewinnić? Rodzice odpowiadają za szkody wyrządzone przez dzieci, hodowcy za te poczynione przez ich zwierzęta. Ty nie upilnowałeś swoich suk, więc jesteś przynajmniej współwinnny. A ja nie słynę z litości...

- Pani nie krzyczy na mojego Diego! – cienki głosik Sophii przepełniony był swoistą mieszanką strachu, desperacji i gniewu. – Diego jest dla mnie dobry, nie można na niego krzyczeć!

Marcia powoli, bardzo powoli, obróciła głowę i spojrzała na dziewczynkę. Wcześniej chyba w ogóle nie zwróciła na nią uwagi, ale teraz mała stała się centrum jej zainteresowania.

Pocieszne, niewinne ludzkie szczenię. Do białości zaciskała drobniutkie piąstki i za wszelką cenę starała się wyglądać dorośle i groźnie.

- Diego, Diego... - Dama nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale za tym uśmiechem kryła się jadowita złośliwość. – Skoro masz taką dzielną obrończynię, to chyba naprawdę nie mogę na ciebie krzyczeć.

Wiesz, ona jest dokładnie w tym wieku, co mały Pippo, co mój pulchniutki, apetyczny chłopczyk, którym zajęły się twoje suki... Co sądzisz o tej sytuacji drogi Diego?

Mężczyzna wyprostował się i nieprzeniknionym wzrokiem mierzył Marcję. Rozsądek nakazywał oddać dziecko i modlić się, by to wystarczyło do wyjaśnienia sytuacji, ale z drugiej strony było mu wstyd, że mała tak dzielnie stanęła w jego obronie, a on ze strachu gotów jest ją poświęcić.

- Zastanawiasz się, czy możesz mnie pokonać? – Kobieta powiedziała to ze szczerym zdziwieniem, a potem równie szczerze wybuchnęła perlistym śmiechem. – Naprawdę chodzi ci to po głowie? Ile ty masz lat?

Diego nie odpowiadał, co zresztą było chyba zgodne z intencjami pytającej.

- Ze sto? – kontynuowała w coraz większym uniesieniu. – A ja jestem Marcia Aurelia Ceionia Demetrias i stąkam po tym świecie prawie od dwudziestu wieków! Jesteś dla mnie tylko niewiele lepszy niż śmiertelnicy!

- Pani znowu krzyczy! – Fifi bez skrępowania wciąła się w patetyczny monolog. - Jak pani zaraz nie przestanie, to będzie musiała za karę iść do kąta.

Przez ułamek sekundy twarz Marcii spowił drapieżny cień, ale błyskawicznie się opanowała. Podeszła do Sophii i łagodnie pogłaskała ją po główce.

- Odważna z ciebie dziewczynka. Podobasz mi się. Wiesz, Diego – ponownie zwróciła się do mężczyzny – ona mi się naprawdę podoba. Aż dziwne, że wcześniej jej nie odnalazłam. Bardzo lubię takie małe, śliczne i odważne dziewczynki. Bardzo lubię...

W duszy Diega coś pękło. Sam siebie zaskakując opanowaniem, sięgnął po pudełko zapalek, wyjął jedną i wsadził sobie w usta.

- Donna Marcia, dokonałaś już na mnie zemsty, pozbawiając mnie ukochanych. Zostaw mi dziecko. Obiecuję więcej nie stawać na twojej drodze.

- Dokonałam zemsty? – Znów znalazła się tuż przed mężczyzną i pozorując flirt położyła mu dłoń na piersi. Uśmiechnęła się na poły kusząco, na poły z niemą groźbą. – Nie tak łatwo mnie zaspokoić, a obawiam się, że twoje suki tylko zaostrzyły mój apetyt...

Diego zachował kamienną twarz, wytrzymał zabójcze spojrzenie straszliwej Marcii. W tej chwili było mu obojętne jak sytuacja się zakończy. Jeśli za chwilę zginie, nie ma się już czym martwić, jeśli nie, pewnie będzie musiał znów szukać dla siebie miejsca. A jeśli uda mu się powstrzymać drapieżną damę... Nie, na pewno mu się nie uda.

- Zaraz świt. – Marcia nagle i zaskakująco łatwo zmieniła ton na lekki, wręcz koleżeński. – Mamy kilka minut. To po tysiącokroć tyle, ile bym potrzebowała do zamknięcia spraw w tym domu, ale z drugiej strony, może warto podelektować się trochę przyjemnościami? Myślisz, drogi Diego, że słodka Sophia zaczeka na nas do następnego zmierzchu?

Znów chwila wyczekiwania w milczeniu i mierzenia się wzrokiem. Zmięta zapalکا spadła na posadzkę, zastąpiła ją kolejna.

- No, Diego, szybka decyzja, bo czas się kończy. Twoja mała Fifi też na pewno chciałaby wiedzieć, czy następnego wieczora spotkamy się razem...

- Razem? Będziecie moimi nowymi rodzicami? – Dziewczynka rozumiała całą sytuację po swojemu.

- Rodzicami? – Marcia przysłoniła dłonią usta, żeby nie było widać obnażonych we wrednym uśmiechu zębów.

- No, tatą i mamą.

- Jeśli tylko twój Diego się zgodzi, moja maleńka, zajmiemy się tobą oboje. – Zmrużone oczy wyczekująco patrzyły na mężczyznę. – No szybko. Twoja Fifi pyta, czy będziesz moim ragazzą?

Mężczyzna nie odpowiedział, mięśnie twarzy nie drgnęły mu choćby minimalnie, ale w końcu skinął głową. Marcii to wystarczyło.

- Świetnie. Napijemy się wina przed snem?

- Wybacz, bella donna, ale nie zaryzykuję.

- Nie zaryzykujesz wina? Ach, myślisz o moich początkach? Doprawdy, byś się wstydził...

Diego nie wstydził się ani trochę. Wiedział, że będąc jeszcze śmiertelną, Murcia zasłynęła próbą otrucia swojego kochanka, bagatela – cesarza Rzymu. Kommudus co prawda z trucizną się uporał, ale z nasłanym, również przez Murcie, niewolnikiem już nie.

- Po winie miewam złe sny.

- Nic na siłę – kobieta nie kryła złości, może nawet urazy, - ale wiedz, że teraz nie potrzebuję takich tanich sztuczek, żeby osiągnąć cel. A skoro mi nie ufasz... Ja zajmę twoje łóżko, ty weź sobie któreś ze swoich suk. Im już się nie przydadzą.

- A ja? Gdzie będzie moje łóżeczko? – Sophia trochę bezczelnie przypomniała o sobie?

- Diego, gdzie będzie spała nasza mała Fifi? Miałeś trzy suki, więc, jak mniemam, problem jest rozwiązany?

Diego splunął zapalką, zimno popatrzył na zaciekawioną dziewczynkę. Wziął ją za rękę i poprowadził ku zasłoniętej kotarą wnęce.

- Tu. - Odsunął gruby materiał odsłaniając rząd połyskujących mahoniem trumien. – Ta pierwsza jest dla ciebie.

Oczy Sophi rozszerzyły się do granic możliwości i po chwili wyglądały jak dwie duże monety. Dziewczynka nie bardzo rozumiała o co w tym wszystkim chodzi, ale pamiętała, że do trumny wkładano jej babcię i że tą trumnę potem spalono. Chciała krzyknąć, ale nagle poczuła przypływ zmęczenia, nad którym nie mogła zapanować. Powieki stały się ciężkie, świadomość zniknęła gdzieś pod zasłoną szarości.

Diego złożył śpiące dziecko na połyskujących białą atlasach, potem wszedł w głąb wnęki i otworzył największą z trumien, złożoną na kantach i przyozdobioną płaskorzeźbą kruka.

- Donna Marcia, zapraszam.

Kobiecie nie trzeba było powtarzać. Z gracją zajęła swoje posłanie, figlarnie mrugnęła do Diega i zamknęła oczy. Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, czy teraz nie miałby swojej szansy na pokonanie potężniejszej od siebie damy, ale szybko tę myśl porzucił. Nie warto było się łudzić.

Otworzył trumnę należącą wcześniej do Giulietty. Miejsca dla niego było trochę za mało, ale jakoś zdołał się zmieścić. Włożył w usta zapalną i zatrzasnął wieko.

*

Sophia nie wiedziała, co ją obudziło. Podniosła się gwałtownie, wyrwana ze spokojnego snu jakimś trudnym do określenia impulsem. Chyba śniły jej się czyjeś oczy. Jakiejś kobiety, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów.

Siedziała w dziwnym, bardzo dziwnym łóżku, obok stało kilka zamkniętych trumien. Zaraz, ona też była w trumnie, tyle, że ze zdjętym wiekiem...

Nie podobało jej się to, ale się nie przestraszyła. Powoli, trochę mglście, przypominała sobie, że poprzedniej nocy zaprowadzono ją do tego domu, że łapała ćmy, że rozmawiała z Diego, który miał być jej przyjacielem tygrysiem.

Diego był fajny. Trochę mało mówił, ale wyglądał tak dorośle i silnie, i był taki zabawny z tymi zapalnikami w zębach...

Dziewczynka miała trochę kłopotu, żeby nie wywrócić się, wychodząc z nieprzyjemnego łóża, ale jakoś się udało. Potem, podskakując co kilka kroków, podbiegła na środek pokoju. W świetle dziennym dom wyglądał inaczej niż w nocy, ale nadal jej się podobał. Przestronny, jasny, dawał mnóstwo miejsca do zabawy. Szkoda, że nie było tu dziecięcego pokoju i jakichś zabawek, ale dla tak zaradnego dziecka, jak Fifi, to nie był duży problem. Zawsze coś się znajdzie.

Na oparciu wielkiego, skórzanego fotela leżało pudełeczko zapalek.

Sophia roześmiała się głośno, złapała znalezione i chwilę potrząsała nim, ciesząc się cichym grzechotaniem. Podeszła do dużego lustra, zrobiła groźną w jej mniemaniu minę.

- Jestem jak Diego.

Wygrzebała z pudełeczka jedną z zapalek i z powagą wetknęła ją sobie w usta. Spróbowała dotknąć do czubka nosa, ale efekt był kiepski, bo drewno spadło na podłogę.

Znów groźna mina i kolejna zapalnik. Teraz przytrzymały ją perłowe ząbki, co okazało się skuteczne, ale dla odmiany przeszkadzało w śpiewaniu, a Fifi właśnie miała ochotę coś zaśpiewać.

Od dylematu, czy lepiej śpiewać, czy być jak Diego odciągnęło dziewczynkę pukanie do drzwi. Nie powinna otwierać, ale jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że tym razem to będzie dobry pomysł.

W progu stała dziwnie ubrana, zielonowłosa kobieta. Sophia jak przez mgłę pamiętała, że już ją kiedyś widziała, chyba nawet niedawno, ale więcej przypomnieć sobie nie potrafiła. Ach, i te oczy... Te oczy też skądś znała...

- Śmieszne ma pani warkoczyki. Ja też takie chcę. Teraz, jak jestem mała, bo jak dorosnę, to chcę być taka elegancka i śliczna jak moja nowa mamusia. – Potok słów płynących z ust dziecka rozbawił gościa, ale ostatnie zdanie nieco zaskoczyło. I nie było to zaskoczenie przyjemne.

- Masz nową mamusię? Myślałam, że tatusia...

- Tatusia też mam nowego.

- A ta mamusia... - Zielonowłosa wyraźnie zastanawiała się, co ma zrobić. – Mogę z nią porozmawiać?

- Nie wiem, może później, bo teraz i mamusia i tatuś śpią. Powiedzieli, że zajmą się mną wieczorkiem.

Zdecydowanie coś się skomplikowało, ale skoro oboje „rodzice” mieli spać do wieczora...

- Chciałabyś dostać prezent?

- Nie wolno mi przyjmować prezentów od obcych.

- Och, słodziutka, przecież już mnie widziałas, prawda?

- Tak, choć nie bardzo pamiętam...

- Więc już nie jestem obca. Mam na imię Helena. To jak, chcesz prezent?

- Chcę, ciociu Helenko.

Zielonowłosa pogrzebała chwilę w swojej torebce i wręczyła dziewczynce nieduży, jedwabny woreczek w błękitno białe paski, ozdobiony złotym słońcem.

- Mogę zobaczyć co jest w środku? – Oczy Fifi zabłyśły z ekscytacji.

- Oczywiście.

- Och, jakie ładne! - Zapalka, niezauważenie opuściła usta dziecka i zapomniana wylądowała na podłodze. W woreczku była figurka tańczącej pary. Zawadiacki, ubrany na czarno mężczyzna trochę przypominał Diega, kobieta w odważnie rozciętej, krwistoczerwonej sukience nie kojarzyła się dziewczynce z nikim, ale za to była taka śliczna... - Och, dziękuję, dziękuję!

- Naprawdę ci się podoba?

- Tak, tak. Bardzo.

- To może powinnaś to pokazać twojej nowej mamie? Na pewno się ucieszy.

- Ale mama śpi. Już mówiłam. – Sophia była szczerze zmartwiona.

- Nie bądź smutna. Obudź mamę tylko na chwilę, pokaż prezent i potem niech śpi dalej.

- A na pewno tak można? Mama nie będzie zła?

- Na pewno. No śmiało, leć!

Ostatnie słowa zielonowłosa Helena wypowiedziała z cieniem zniecierpliwienia, ale dziewczynka nie zwróciła na to uwagi. Pobiegła w głąb domu, zostawiając ciocię Helenę na progu. Ta zresztą nawet nie próbowała wchodzić. Czekala cierpliwie, choć na jej twarzy znać było rosnącą nerwowość.

Teraz nie widziała Sophii, więc ile mogła wytrzymała słuch, starając się tym zmysłem ogarnąć rozwój sytuacji. Oddalające się kroczyki małej, potem chwila ciszy. Coś jakby sapanie. Pewnie Fifi siłuje się z wiekiem trumny... Wreszcie cichy zgrzyt i głośniejsze, pojedyncze uderzenie. Otworzyła?

Cisza. Coś poszło nie tak?

Cisza.

Wreszcie tupot małych nóżek. I ciche chlupanie.

Zapłakana, wystraszona Fifi znów pojawiła się w drzwiach. Rączki wciąż zaciskały się na figurce tańczącej tango pary, ale teraz drżały niekontrolowanie.

- Kochanie, coś się stało?

- Mamusia... Ona, ona... Ona taka szara się zrobiła, a potem się rozsypała w taki piasek. Ciociu, niech ciocia jej poszuka, może to tylko taki żart, może się schowała?

Oczy zielonowłosej roz błysły dziwnym blaskiem.

- Nie mogę wchodzić, jeśli twoi rodzice mnie nie zaproszą, ale biegnij szybko, obudź tatę, on na pewno ci pomoże! Szybciutko!

Oddalające się kroczyki małej. Tym razem bardzo szybkie. Biegła. Chwila ciszy. Coś jakby sapanie. Pewnie Fifi siłuje się z wiekiem trumny... Wreszcie cichy zgrzyt i głośniejsze, pojedyncze uderzenie...

≈EPILOG≈

Widok z Piazzale Michelangelo zapierał dech w piersiach. W promieniach stojącego w zenicie słońca bieleły się fasady pałaców, ceglaste dachówki zdawały się żarzyć, a poprzecinane mostami wody Arno lśniły niczym płynne złoto. Wysokie wieże Palazzo Vecchio i katedralnej dzwonnicy śmiało godziły w niebo, a nad wszystkim niepodzielnie panowała szaleńcza w swym ogromie kopuła katedry Matki Boskiej Kwietnej.

Helena upiła łyk espresso. Była oczarowana. Mogłaby tu siedzieć i patrzeć całymi godzinami, choć z

drugiej strony, gdyby ktoś ją spytał, co z tej podróży najbardziej utkwiło jej w pamięci, nie wahałaby się ani chwili... Tak, tak. Tu, na tym placu, też stała kopia rzeźby „Dawida”...

Kobieta rozważała fenomen kamiennego przyrodzenia, które jak żadna inna pamiątka obecne było wszędzie. Torebki, magnesy, portfele, bluzki (bluzkę, czarną oczywiście, ale nieodzownie z rysunkiem słynnego ptaszka, miała nawet na sobie i co więcej, strasznie ją to cieszyło), czego tylko dusza zapragnie i wszystko obowiązkowo z dawidowymi klejnotami. Czy jest jeszcze jakieś inne miejsce na ziemi, gdzie penis urasta do miana jednego z najważniejszych symboli?

- Helena Roja Corazon?

Śniady mężczyzna w czarnych okularach przysiadł się, nie pytając o zgodę. Roztaczał nieprzyjemną, ponurą aurę, co musiała zauważyć także pałaszująca lody Sophia, bo teraz skuliła się i przysunęła bliżej przyszywanej cioci.

- Helena Roja Corazon? Szamanka z Argentyny? Czarownica?

- A kto pyta?

- To mniej istotne. Rozumiem, że dobrze trafiłem? – Mężczyzna zawiesił głos, jakby wyczekując potwierdzenia, ale ponieważ nie nastąpiło, kontynuował: - Przychodzę w sprawie Marcii Aurelii.

- To chyba jednak pomyłka. Nie znam nikogo takiego.

- Doprawdy? O Diego Simeone, emigrancie z Argentyny, wampirze, też pani nie słyszała?

Helena zeszywniała. Nagle poczuła strach.

- Diego mnie nie interesuje – zimnym, beznamietnym tonem kontynuował nieznajomy. – To wasze sprawy. Ale to, że w domu rzonego, dzisiejszej nocy zginęła wspomniana przeze mnie Murcia Aurelia, to zupełnie inny temat. Naprawdę pani nie wie, kim była?

-Wampirzycą... - Helena mruknęła chrapliwie nie potrafiąc przezwyciężyć narastającej suchości w gardle.

- Jedną ze starszych. Jej historia zaczęła się jeszcze w Imperium Rzymskim. Nie muszę chyba dodawać, że w związku z tym była osobą niezwykle potężną i wpływową...

Zielonowłosa nie odezwała się. Chaotycznie usiłowała skalkulować, czy ma jakiekolwiek szanse ucieczki. Nie miała. Tak, jak nie miała w planach zadrzeć z tak starą potęgą. Miała dokonać zemsty na Diego. Zemsty, której uciekł w Mar del Plata. I tylko tyle... Z rezygnacją popatrzyła na zwisające w kroczu kamiennego Dawida klejnoty, jakby chciała ten obraz przenieść ze sobą do zaświatów.

Zabije szybko, czy będzie torturował?

Mężczyzna spokojnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Pistolet? Tak banalnie?

Na stoliku, obok filiżanki espresso, pojawiła się koperta z biletami lotniczymi.

- Dla pani i dla małej. Powinienem jednak dodać, że Marcia, choć potężna i wpływowa, nie była przez nikogo kochana. Zrobiła nam pani dużą przysługę. W zamian przesyłam ostrzeżenie. Proponuję wyjechać, zanim znajdzie się ktoś, kto jednak poczuje żal za kochanką i zabójczynią cesarza Kommodusa. Najlepiej jeszcze przed nocą. Bilety są na dziewiętnastą.

LCF

01-2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bury_wilk, dodano 29.01.2013 19:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.